

Jak Mikołaj Grabowski trafił na minę

TEATR

Reżyser zaproponował dziwną dyskusję o Polsce i Polakach, która niczego nie wnosi.

Sporo sobie obiecywałem po tym spektaklu, bo po pierwsze, od lat przyglądam się z uwagą twórczości Mikołaja Grabowskiego, a po drugie, rozmawianie o istocie polskości w 100-lecie odzyskania niepodległości jest czymś naturalnym. Dla Grabowskiego ten temat jest jednym z najbardziej istotnych, jakie od lat podejmuje w teatrze.

Byłem więc przekonany, że „Miny polskie” będą spektaklem żywym, zachęcającym do dyskusji. Nadzieje na to budziły nazwiska osób, których teksty stały się kanwą scenariusza: Wojciech Bogusławski, Jędrzej Kitowicz, Henryk Rzewuski, Stanisław Wyspiański i Witold Gombrowicz. Co więcej, każdy z nich w twórczości Mikołaja Grabowskiego



◀ Kreacji Jana Peszka nic nie dorównuje w tym spektaklu

KATARZYNA CHMURA-CEGIEŁKOWSKA/TEATR POLSKI

ma szczególne miejsce. Tyle że razem wzięci, jak się okazało, niewiele mają do powiedzenia. Myślę, że zawiódł scenariusz, jaki wraz z Mikołajem Grabowskim przygotował Tadeusz Nyczek. Po drugie, niestety, zawiódła większość aktorów.

Pomysł scenariusza – jak przyznał w wywiadzie dla

„Rzeczpospolitej” reżyser – narodził się w głowie Tadeusza Nyczka. Grabowski przyjął go z zainteresowaniem, ale też uzupełnił cytataми swoich ulubionych twórców. Pierwsza wersja spektaklu zrealizowana została w Teatrze Horzycy w Toruniu. Dlaczego następna, warszawska nie pojawiła się w

Ateneum, gdzie Tadeusz Nyczek jest kierownikiem literackim? Myślę po prostu, że sam Nyczek nie wierzył w siłę tego przekazu. I miał rację. Mikołajowi Grabowskiemu zaś, jako reżyserowi najwyraźniej zabrakło czujności i przygotowując spektakl o minach najwyraźniej trafił na minę. I teraz

musi robić dobrą minę do złej gry.

Dozór nad minami Gombrowicza, Wyspiańskiego czy Kitowicza sprawuje w tym spektaklu ojciec polskiego teatru Wojciech Bogusławski. Widzimy go prowadzącego naukę gry scenicznej. W mistrzowskiej interpretacji Jana Peszka staje się on nieoczekiwanie postacią pierwszoplanową. I nie wynika to bynajmniej ze scenariusza, ale skali talentu i siły osobowości Peszka. Można powiedzieć, że kiedy on się pojawia wraz ze swą świtą (Anna Cieślak i Paweł Krucz), usypiająca z nudów publiczność nagle się ożywia. Nie ma w tym spektaklu ani Wyspiańskiego (Maksymilian Rogacki), ani Gombrowicza (Grzegorz Mielczarek), więc trudno mówić, że toczą ze sobą jakiś spór o racje.

Po wielkiej scenie Polskiego snują się jakieś postacie, recytując bez przekonania cytaty z „Wyzwolenia”, „Legionu”, „Fer-

dydurke”, „Operetki”, „Ślubu”, „Dziennika”. Niektóre recytacje wplecione są w sekwencje filmowe realizowane w scenerii współczesnej Warszawy.

I niby wszystko jest w porządku, tylko nic mnie to nie obchodzi. Bo to, co dzieje się na scenie przy Karasia, jest jakieś wtórne. Tak jak wtórne jest odgrzewanie fragmentu „Opisu obyczajów” Kitowicza, który kiedyś w mistrzowskiej obsadzie niezwykle rozgrzewał publiczność krakowskiego STU, a potem warszawskiej IMKI.

Lustra, jakie starają się nam podsunąć twórcy przedstawienia, okazały się mocno zakurzone lub wyblakłe, więc trudno się w nich przejrzeć. A przecież Gombrowicz czy Wyspiański wciąż mają nam wiele do powiedzenia. ©

—Jan Bończa-Szabłowski



Więcej zdjęć ze spektaklu „Miny polskie”

rp.pl/kultura